NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 22 maja 1915. Nr. 21.

Gorlice w gruzach.



Zburzony kościół w Gorlicach.

ważne niebezpieczeństwo.

Zgon unickiego księcia Kościoła.

Inwazyę rosyjską do Przemyśla przypłacił swojem życiem biskup grecko katolicki ks. Konstanty Czechowicz, zastępca marszałka Sejmu galicyjskiego.

Według wiadomości, jakie otrzymano drogą uboczną z Przemyśla, powodem zgonu ks. biskupa Czechowicza były szykany ze strony Rosyan. Gdy wreszcie kazano mu opuścić pałac biskupi, ks. biskup Czechowicz tak się tem przejął, że padł rażony udarem.

Ks. biskup Konstanty Czechowicz urodził się w roku 1847, a w roku 1873 otrzymał święcenia kapłańskie. W roku 1887 został kanonikiem kapituły przemyskiej, a w roku 1896 biskupem przemyskim.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Most na Dunajcu, odbudowany przez saperów.

Od roku 1905 był członkiem Izby panów. Sprawował też trzykrotnie urząd zastępcy marszałka Sejmu galicyjskiego, po raz ostatni w styczniu 1914 roku, po ustąpieniu metropolity Szeptyckiego.

Po pierwszem oswobodzeniu Przemyśla nie chciał opuścić miasta, choć go do tego namawiano, i zmarł na stanowisku w chwilach dla Przemyśla najcięższych.

Zmarły dostojnik Kościoła nie był bynajmniej szowinistą ruskim i pracował nad pojednaniem obu narodów. To też śmierć jego wywarła szczery żal i w społeczeństwie polskiem.



Z terenu walk w Królestwie Polskiem: Las kruszyński (w Królestwie Polskiem) zniszczony przez pociski armatnie. (Zdjęcie rotm Ujhel'ego.)

Akcya humanitarna w Królestwie Polskiem.

Z chwilą uwolnienia od inwazyi moskiewskiej znacznej części Królestwa i rozpoczęcia na tym terenie działalności N. K. N., główną troską tegoż jest niesienie pomocy ludności znękanej okropnościami tej bezprzykładnej w dziejach wojny. Jedną z ważniejszych form tej działalności jest niesienie pomocy lekarskiej i opieka sanitarna, co wobec zbliżających się upałów i niskiego stanu urządzeń sanitarnych w kraju, ze względu na niebezpieczeństwo epidemii, nabiera pierwszorzędnego znaczenia. Z ramienia Komitetu dla niesienia pomocy ludności, powstała w Piotrkowie lecznica bezpłatna, w której udzielane są ubogiej ludności porady lekarskie i przeprowadzane są masowo szczepienia ochronne przeciw ospie, cholerze i tyfusowi brzusznemu. Mniej zamożnym udzielane są lekarstwa bezpłatnie. Pierwsza ta lecznica założona została przez lekarkę lwowskiego szpitala powszechnego, panią dr. Julię Switalską, w Piotrkowie.

Nadto współpracują wojskowi lekarze Legionów, dr. Al. Kapellner, dr. J. Konopiński i dr. J. Rutkowski. Jak dalece pożyteczną okazała się ta insty-



Zgon unickiego księcia Kościoła: S p. ks Konstanty Czechowicz, biskup grecko-katolicki, zastępca marszałka Sejmu galicyjskiego, zmarły w Przemyślu podczas inwazyi rosyjskiej.



Niezwyciężony: Dąb w Kruszynie (Królestwo Polskie) zniszczony przez pociski armatnie.

tucya, świadczy wielka liczba zgłaszających się nietylko z Piotrkowa, ale bliższych i dalszych okolic miasta. Krótka, bo zaledwie parotygodniowa działalność lecznicy zyskała sobie znaczną popularność wśród sfer robotniczych i okolicznych włościan. Ryciny nasze przedstawiają masowe szczepienia przeciw ospie, przeprowadzane nad dziećmi z ochronek i szkół początkowych. Życzymy młodej, a tak pożytecznej instytucyi jak najowocniejszej pracy dla dobra społeczeństwa.



Akcya humanitarna w Królestwie Polskiem: Lekarze wojskowi Legionów, dr. A. Konopnicki (z brodą), dr. J. Rutkowski dokonują szczepień przeciw ospie. (X) Dr. J. Switalska, założycielka lecznicy w Piotrkowie.

Zatopienie kolosu morskiego.

Telegramy z ubiegłego tygodnia doniosły o zatopieniu przez niemiecką łódź podwodną kolosalnego parowca pasażerskiego, należącego do linii Cunarda.

„Luzytania“, jeden z największych okrętów, kursujących obecnie po wodach światowych, a przeznaczony do utrzymywania stałej komunikacyi pomiędzy starym a nowym światem, zbudowany został w roku 1907 w warsztatach Johna Browna w Glasgowie. Długość jej wynosiła 232 metry, szerokość 27, głębokość 17·3, wnętrze okazywało 32.000 tonn pojemności. Posiadała cztery maszyny turbinowe o sile 68.000 koni. Pasażerów mogła wziąć 1848, załoga wynosiła przeszło sześćset osób, w chwili katastrofy, jak wykazują sprawozdania urzędowe, było na pokładzie i w kajutach 2160 osób.

Pierwsza jazda „Luzytanii“ odbyła się z Nowego Jorku do Liverpoolu, a szło wówczas o zdobycie rekordu szybkości wobec niemieckiego statku „Deutschland“, należącego do linii Hapagu. Na razie się to nie powiodło, zdołano bowiem uzyskać przeciętną chyżość 23·01 węzła na godzinę, podczas gdy kurent osiągnął 23·36 węzła. W miesiąc później skróciła jednak czas, jakiego potrzebowała na przepłynięcie oceanu, na cztery dni, ośmnaście godzin i czterdzieści minut i odtąd była najszybszym statkiem na świecie.





Szlakiem Legionów:

Pułkownik Grzesicki żegna Legionistów, odjeżdżających z batalionu uzupełniającego na plac boju.

Pułkownik Grzesicki z grupą oficerów batalionu uzupełniającego.

Przy budowie starano się o jak najdalej sięgające zabezpieczenie statku przed zatonięciem, zastosowano też podwójne dno i ściany, nadto wnętrze pod linią wodną podzielono na 175 komór, szczelnie zamykanych, aby, w razie wypadku, fale nie wdarły się do całej przestrzeni. Tak się jednak nie stało, dwa strzały torpedowe uszkodziły tyle przegród, że o utrzymaniu statku nad powierzchnią wody nawet mowy być nie mogło.

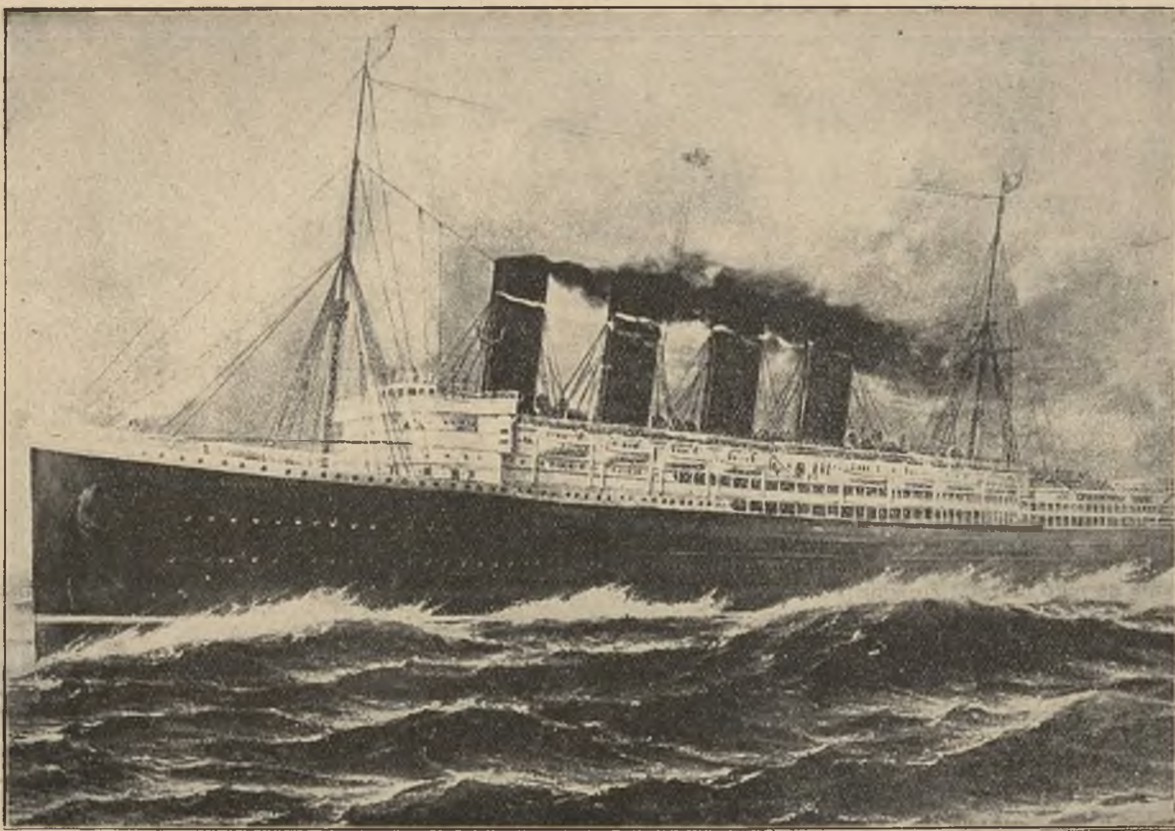
„Luzytania“ była wyposażoną we wszelkie nowoczesne urządzenia komfortu i zbytku, drogę zaś między Nowym Jorkiem a Liverpoolem odbyła około czterysta razy. Wartość jej w każdej podróży wynosiła około trzydziestu pięciu milonów koron wraz z ładunkiem, gdy zaś używano jej do przewożenia złota, podnosiła się do stu milionów.

Zatopienie „Luzytanii“ przez niemiecką łódź podwodną, co miało miejsce nieopodal brzegów Irlandyi, więc prawie u samego kresu podróży, przywodzi na pamięć tragiczne zatonięcie drugiego podobnego kolosu „Titanica“. Tam statek padł ofiarą sił przyrody, tutaj życie tysiąca istnień ludzkich stało się pastwą wojennego ataku.

Dziwić się należy, iż zarząd linii Cunarda zdecydował się wyprawić okręt w podróż do Europy, zwłaszcza wobec ogłoszenia niemieckiej admiralicyi, iż angielskie okręty handlowe będą ulegały storpedowaniu przez marynarkę wojenną. Specyalnie zaś co do „Luzytanii“ groźba ta ponawianą była parokrotnie także w sposób urzędowy. Jeszcze w dniu 22 kwietnia, bezpośrednio przed wypłynięciem jej na morze, poselstwo niemieckie ogłosiło komunikat, przypominający podróżnym, mającym chęć udania się do Europy, iż strefa wojenna obejmuje wody dokoła wysp brytyjskich i że wobec tego statek, płynący pod flagą angielską, narażony jest na poważne niebezpieczeństwo.



Akcya humanitarna w Królestwie Polskiem: Masowe szczepienie przeciw ospie w lecznicy bezpłatnej w Piotrkowie. (X) Dr. Julia Switalska.



Zatopienie kolosu morskiego: Okręt „Luzytania".

Według pism angielskich na „Luzytanii" zginęło 1457 osób, ocalało zaś 760, z czego 302 należało do załogi. Z uratowanych podróżnych jest trzydziestu poważnie rannych.

Wiadomość o katastrofie wywołała w całym świecie ogólne współczucie dla nieszczęśliwych ofiar. Anglicy odgrażają się, że wystąpią przed sądem karnym z oskarżeniem przeciw oficerom i załodze statku podwodnego o skrytobójcze morderstwo, krewnych zaś tych, którzy zginęli, wzywają, by zgłosili swe pretensye o odszkodowanie. Na ich pokrycie rząd angielski sprzeda zasekwestrowaną dotąd własność Niemców w Anglii.

Krakowska stacya opatrunkowa.

Kraków jako węzłowy punkt kolejowy, położony w pobliżu terenów operacyjnych — stał się ośrodkiem, około którego skupił się cały ruch wojskowy. Przez Kraków przejeżdżają olbrzymie armie, udające się na plac boju i do Krakowa napływają liczni ranni, którzy jadą następnie dalej w głąb monarchii. Skutkiem też swego położenia geograficznego miasto nasze stało się główną stacyą opatrunkową.

Krakowska stacya dla rannych i chorych żołnierzy znajduje się na starym i nowym dworcu towarowym. Składa się z trzech budynków, t. zw. objektów. Każdy budynek ma inne zadanie. „Objekt I." jest właściwą stacyą opatrunkową. „Objekt II." przeznaczony jest do przyjmowania i segregowania przybywających żołnierzy. „Objekt III.", ma specyalne zadanie, jest poniekąd miejscem kwarantanny dla jeńców rosyjskich.

Pociągi z rannymi zatrzymują się przed „objektem II.". Natychmiast służba sanitarna otwiera wagony i pomaga rannym udać się do sal, a ciężej rannych przenosi na noszach. Tutaj żołnierze otrzymują posiłek, a lekarze przystępują do opatrywania rannych i do badania chorych. Po zbadaniu, ciężej rannych karetki sanitarne odwożą do szpitali krakowskich, lżej ranni pozostają i najbliższymi pociągami wyjeżdżają na zachód.

Należy tu zaznaczyć, że dzięki staraniom komendanta stacyi dra Sofera, wybudowano przy II. objekcie krytą rampę, wobec czego jest ułatwione wyładowywanie rannych z pociągu.

Na stacyi opatrunkowej wre praca gorączkowa, choć nierównomierna. Są dnie, w których przez stacyę krakowską przejeżdżają tysiące chorych i rannych, a wszystkich trzeba zbadać, opatrzyć, nakarmić i odesłać do szpitali krakowskich lub w głąb monarchii. Wymaga to wielkiego wysiłku pracy i energii ze strony całego personalu, na czele którego stoi komendant stacyi dr. Leop. Sofer. Pomagają mu dzielnie lekarze: dr. Aleksandrowicz, dr. Erlich, dr. Jenik, dr. Rosenfeld i kadet Grüner.



Oryginalny typ żołnierza rosyjskiego: Żołnierz rosyjski, wzięty do niewoli w lasach kruszyńskich (Król. Polskie).
(Do art. na str. 10). (Zdjęcie rotm. Ujheliego).



Pogrom Rosyan w Galicyi: Jeńcy rosyjscy, wzięci do niewoli podczas ostatnich walk, na dziedzińcu koszar Franciszka Józefa w Krakowie.

EMIL KWAŚNY.

ŻEGNAJ...!!

Stała przed morzem szyn kolejowych...

Stuk maszyn, zgrzyt piekielny kół, syk pary z kotłów — nie oszałamiały i nie trwożyły jej tak, jak lęk tego słowa:... Żegnaj...!!

Stała — przepiękna — ubrana elegancko, bez przeładowania, wytwornie.

Od czarnej, jedwabnej sukni, która kryła przepyszne kształty jej ciała i zaginała się klasyczną pięknością jego linii — odbijał się drobny, cudny owal twarzyczki o głębokich i w wielkim smutku pogrążonych oczach.

Pierś krągła i bujna falowała tak szybko, jak bije serce schwytanego ptaka.

Niewielka wiązanka kwiatów drżała w jej drobnych paluszkach.

Myślą odbiegła daleko...

Uciekła myślą od tego potwora, którego w jej oczach kanonierzy dźwigniami na ciężkie ładowali wozy, a którym „On" miał kierować... dowodzić.

Na „Jego" rozkaz miał ten potwór o średnicy 42 cm. wyrzucać piekło ognia, grzmotu, ławę żelaziwa ze swego wnętrza, z paszczy...

„On" miał mordować w sekundzie setki ludzi, drzeć w strzępy, siać mord i zniszczenie...

„On" — którego całe życie składało się z najszlachetniejszych porywów serca, myśli, czynu...

„On" — co jeszcze przed chwilą, przytulony do jej piersi — szeptał nadziemskie słowa miłości...

Mała główka ciężyła jej strasznie... jak kopuła z miedzi... gięła się jej postać, jak wiklina, czochrana wiatrem... kołysała się, jak łodyga przecudnego kwiatu pod naporem burzy...

Uciekła na chwilę myślą do swego pokoiku, do tego uroczego kątka, gdzie przed pół rokiem, po zaręczynach, przeżyli tyle cudnych, jasnych chwil... żeby się przekonać, czy potwór ten nie zburzył ich gniazdka, żeby się przekonać, czy to przykry sen... lub jawa...

Jeszcze na parę minut przed odjazdem przycisnął ją do siebie... całował oczy... usta... pieścił... był jej błogiem szczęściem... a oto nadeszła chwila rozłąki... i stał się niewolnikiem tego potwora... z piekła rodem...

Drżała przed tym potworem, jak liść, wzrok błędny ginął w jego czeluściach... w paszczy... Zachwiała się... i zdało się, że lada chwila runie z nóg...

Zadzwoniły łańcuchy... zatrzeszczały, jękły żelazne słupy dźwigni... i podniósł się potwór pod naporem wind i stu rąk do góry...

Ludzie o nerwach, jak postronki, truchleli na jego widok, żegnali się ze strachu... a ona... delikatna, pieścidełko losu, patrzyła, jak na szafot... czekała, rychło potwór wystrzeli strugą serdecznej krwi... rozniesie w puch jej marzenie... szczęście... wyśnioną miłość...

Powietrze przeszył przeraźliwy, krótki świst sygnału kolejowego.

Dreszcz wstrząsł jej ciałem... oprzytomniała na chwilę.

Świst, jak strumień zimnej wody, bryznął jej w twarz, ale po to, żeby ją znowu huragan myśli zagnał, jak marny, zeschły, jesienny liść na pola.. nad otwarty grób... Serce jej zamierało... przestawało bić... słyszała stuk grudy o deski, w których grzebano jej miłość... czarowny, przecudny sen... a w uszach jęczały słowa, jak pogrzebowe dzwony: „Żegnaj...!!" „Za krótki czas... ujrzysz nas..."

Głos tajemniczy, jak anioł śmierci, szeptał jej: „W mogile ciemnej..."

Ocknęła się w jego ramionach...

Ostatni pocałunek... drżący szept: „Żegnaj, ukochana..."

Na to słowo — żegnaj — którego się całe tygodnie lękała, które, jak zmorę, odpędzała od siebie, a które prześladowało ją i trapiło bez przerwy, zdawało się jej, że ziemia się rozstąpiła... że leci w straszną, bezdenną przepaść...

— — — — — — — — — — — —

Pot zimny, kroplisty wystąpił jej na czoło. Usta drżały... dygotała, jak w strasznej febrze...

Ból okropny rwał jej piersią...

Całym ciężarem swego ciała zawisła w jego ramionach... jak nad przepaścią swego szczęścia... ukochania...

Smutne oczy tonęły we łzach...

— — — — — — — — — — — —

Podała mu usta i wiązankę kwiatów... i mówiła, jak przez sen:

— To wszystko, coś najwięcej ukochał na ziemi, weź ze sobą na daleką drogę...

A wicher jęczał:... na drogę wieczności...

— Weź moje usta!... Bo czułam, kiedyś pił z nich, jak z czary niewysłowionego szczęścia i rozkoszy — to chciałeś wniknąć w mą pierś... w moje serce...

Weź je ze sobą!

Weź to serce, które cię nad wszystkie skarby świata ukochało... krzep je swą miłością... pieść i tul... broń, jak słabe ptaszę przed drapieżcą...

Weź te kwiaty, któreś tyle razy pieścił i cisnął do ust. mówiąc, że to moje siostry, z których jestem najpiękniejszą...

Weź moją duszę... moje życie...

Po tobie będzie ono tylko jednem pasmem cierpień... łez... i rozpaczy bezbrzeżnej...

— — — — — — — — — — — —

Łkała na jego piersi... zlewała jego mundur łzami...

A on... jakby skamieniał z bólu... Gwałtem wstrzymywał łzy, żeby nie pogłębiać jej bólu i rozpaczy.

— — — — — — — — — — — —

Lokomotywa zaświstała chrapliwym głosem sygnał do odjazdu... Zaturkotały koła... jeszcze jeden uścisk... Wyrwał się jej z objęć i wskoczył do wagonu.

— — — — — — — — — — — —

Pociąg znikł...

Deszcz zimny począł mżyć, a ona patrzyła w dal... za pociągiem... stała, jakby jej ciało opanował ciężki, żelazny sen, z którego się nie mogła obudzić.

Głośne nawoływanie kolejarzy obudziło ją wkońcu z letargu myśli.

Szła samiuteńka... z przerażającą pustką w piersi... słaniała się, jak złośliwą ręką nadłamany kwiat...

W jej łzach rozpylało się światło lamp kolejowych, migotało, jak w dzień zaduszny na cmentarzu...

„Podjechała dorożka.

Z trudem usadowiła się w niej. Turkot... i dorożka znikła, tocząc się hałaśliwie po „kocich łbach" kolejowego bruku.

Na moście, prowadzącym przez Wisłę do Dębnik, owiał ją chłód... drżąca i blada skuliła się w dorożce, trzęsła się ze zimna i z bólu.

Za chwilę dorożka zatrzymała się przed piękną, stylową willą w Dębnikach.

Wysiadła i, jak duch pokutny, pośród przepysznego kwiecia kroczyła do willi. Weszła do salonu i rzuciła się na fotel. Wzrok jej utkwił w portrecie męża.

Po niedługiej chwili — z bólu i rozpaczy — ogarnął ją ciężki sen...

Uchyliły się cicho drzwi salonu, wszedł ojciec Heleny, pensyonowany nadinżynier.

Popatrzył na śpiącą, pokiwał głową i odszedł w milczeniu.

Kroki jego głuszył kosztowny perski dywan. Przeszedł przez szereg wykwintnie umeblowanych pokoi i zamknął za sobą drzwi, prowadzące do pokoju myśliwskiego.

Przepyszne okazy wypchanych ptaków, rogi, bogata kollekcya broni i obrazów pierwszorzędnych mistrzów składały się na gustowną, harmonijną całość tego pokoju.

Nerwowo kroczył tam i z powrotem po pokoju, targał siwy, bujny wąs i w rozdrażnieniu sam rozmawiał ze sobą:

— Ta wojna... ta wojna... co wszystko bez litości bierze, niszczy... zalewa nasz kraj, jak zrealizowany potop Sienkiewicza... dotarła i do niej... w pół roku po ślubie... w zaraniu małżeństwa... Biedne dziecko... dziesięć lat żywiło w sercu miłość dla niego po to, żeby go po kilkunastu tygodniach małżeństwa... utracić...

Lękam się o nią... nie przetrzyma tego bólu...

Och! ta wojna... wżera się jak gad jadowitą zemstą w naszą pierś... ssie naszą serdeczną krew... przenika nas wizyami, jak palaczy opium... przechodzi w gorączkowe sny... marzenie... tworzy z nas legiony zbrojne... ale i legiony marzycieli z modlitwą błagalną na ustach o „zmartwychwstanie"...

Dłonie naszych bohaterów ściskają kurczowo broń... piersi dyszą zemstą... a oczy świecą fosforem, jak kości naszych przodków, rozprószone na sybirskim szlaku.

— — — — — — — — — — — —

Padają... ale po ich trupach idą nowe zastępy w bój zażarty... do ostatniego tchu... do skutku... aż runie tron cara!!... rozbiją się w proch pomniki „Murawiewów-Wieszatieli"... obelga naszej ziemi...

Z tą wojną nadszedł dzień zemsty i strasznego odwetu za sto lat niewoli, za łzy naszych matek, za ból... za męki naszego narodu...

Dziś armaty z szalonym rykiem wyrzucają z łona polskiej ziemi kości naszych przodków jak na sądnym dniu... na świadectwo piekielnych zbrodni rosyjskich, spełnionych na naszym narodzie...

— — — — — — — — — — — —

Nadszedł sądny dzień dla zbrodniarzy, którzy równali groby pomordowanych bohaterów polskich z ziemią... żeby osierocone dzieci, żony i matki nie modliły się nad ich mogiłami...

— — — — — — — — — — — —

Sądny dzień... sądny dzień...

— — — — — — — — — — — —

I Nemezis mściwa w rozszalałym gniewie za te zbrodnie piętrzy dziś trupy rosyjskie w Karpatach... topi roty rosyjskie w bagnach mazurskich jak szczenięta... i piekielnym chichotem szepcze Imperatorowi do ucha:

„Wot!... Smatri car-batiuszka, to twajo dieło!"

— — — — — — — — — — — —

Helena przebudziła się, powiodła wzrokiem po salonie i poszła do pokoju ojca. Drgnął... na zbolały jej widok.

— Heluta, odwagi... odwagi — szeptał, kiedy się przytuliła do jego piersi, a w duszy powtarzał: „Sądny dzień... sądny dzień..."

Udany spokój ojca podziałał dodatnio na nerwy Heleny.

Patrzyła mu w oczy badawczo, a po chwili rzekła:

— Prawda tatko, że jemu, chociaż pojechał na pole bitwy, nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Przecież Moskale nie mają takich potworów, jak ten, co widziałam?

— Nie dziecko... nie... nie mieli i nie mają. Potwór, czyli jak podobno kanonierzy go „grubą Bertą" nazywają, był tajemnicą naszych arsenałów, o której nikt nie wiedział, ukryto go starannie przed wroga okiem.

Rubel rosyjski nie złamał stempli tej tajemnicy, nikt o niej nie wiedział.

„Berta" będzie rozmawiała z Moskalami na przyzwoitą odległość dwudziestu kilometrów, zna ona dobrze „szarmanteryę" Moskali względem naszych kobiet. Ignasiowi nie grozi zatem żadne niebezpieczeństwo — dodał po chwili, a w duszy myślał: „Zebyś ty wiedziała, w jakie on piekło wleci"...

— Dzięki Ci, Boże! — westchnęła, pożegnała się z ojcem i wyszła do ogrodu.

Jasna i ciepła noc wywabiła ją z pokoju ojca, chciała zostać sama ze swemi myślami.

Błogi spokój letniej, seledynowej nocy ukoił ją trochę.

Błądziła ścieżkami, przystawała przed koronami cudnych róż... wdychała głęboko, całą piersią, ich upojną woń... uśmiechała się do nich, pieściła je...

— — — — — — — — — — — —

On was tak kochał — mówiła do nich — pielęgnował, żebyście były zawsze świeże, żebyście bogate w kwiecie czekały na moje przyjście... „na dzień dobry",

Rozmawiał z wami, prosił was pieszczotliwie, żebyście mi nie skąpiły waszej czarownej woni, żebyście się śmiały ze słonkiem do mnie.

Zakołysały się lekko wiatrem, jakby składały ukłon królewnie...

Dlaczegóż dziś zamknęłyście wasze cudne kielichy, jakby serca wasze z tęsknoty umierały za tym, cośmy go wszyscy ukochali? Tak... tak... moje drogie, osierociałyście wy... i ja... po jego dobrem sercu.

— — — — — — — — — — — —

Dziwnie była rozrzewnioną.

Chciała cały świat przycisnąć do piersi i prosić... błagać... żeby go bronił, zasłaniał.

Drżała o niego, bo kochała go miłością nadziemską.

On ją prowadził od dziecka przez życie, kolega i nauczyciel jej braci. Uczył ją myśleć... czuć... i kochać... Hodował ją dla siebie, jak przepyszny kwiat... od pąka.

Niezmiernie delikatny w obejściu, a czuły na najmniejszy ból ludzki, w wypełnianiu obowiązków względem siebie i społeczeństwa nadzwyczaj sumienny, o ogromnym zasobie inteligencyi i wiedzy, używał tych skarbów na uszlachetnienie drugich, a nie dla niewolniczej karyery. Surowy dla siebie i twardy jak kamień probierczy... żył i pracował dla dobra społecznego.

Ojciec Heluty bardzo go szanował i poważał, a reszta rodziny uważała go za swego. Matka jej z lubością patrzyła na nich oboje, a kiedy los nieubłagany uwziął się psuć ten idealny nastrój, czysty, silny i barwny w tonie akord życia tej zacnej rodziny, kiedy śmierć zaczęła zwolna okrężne loty wokoło tego zacnego i patryarchalnego domu i postanowiła za wszelką cenę pochwycić matkę tych piskląt w swe straszne szpony, jak krwiożerczy sęp... kiedy cienie jej skrzydeł kładły się zwolna na oczy tej szlachetnej matrony, kiedy czuła, że

musi odejść od tych najdroższych istot, którym dała życie, swą krew, serce i duszę własną, usunęła ze swego pokoju wszystkich, co ją bladzi ze wzruszenia i smutku otaczali, polecając Ignasiowi i Helutce, żeby się zbliżyli do jej łoża.

Wzrok jej przygasły utkwił w ich twarzach, uśmiechnęła się.

Po chwili, kiedy uklękli przy łożu, rzekła drżącym głosem, nie spuszczając z nich oczu:

— Weź ją... to nasze dziecię. Wydałam ją na świat, jako najpiękniejszy owoc mej bezgranicznej miłości, bo kochałam męża do obłędu, a tyś ją, Ignasiu, jak kwiat egzotyczny wyhodował. Pod ciepłymi promieniami twych kochających i prawdziwie ojcowskich oczu rozwinął się ten ukochany pąk... w przecudny kwiat, któryś tyle lat hodował... grzał ciepłem twego serca i strzegł. Tem, czem dziś jest, tobie zawdzięcza, bo mąż mój, choć najzacniejszy człowiek pod słońcem i dobry ojciec, ale jako kolejarz wiecznie tą wyczerpującą służbą zajęty, jak sam wiesz, nigdy czasu dla domu nie miał...

Tyś w tej piersi młodej wywołał, zbudził najszlachetniejsze porywy duszy i serca, tyś ją uczył patrzeć na świat... na nędzę... na niedolę naszego narodu... wyczuwać ją i łagodzić. Ona żyje tobą... Bez ciebie zwiędłaby jak kwiat, kiedy mu słonko nie użyczyło swych ciepłych promieni... Żaden inny mężczyzna nie może jej posiąść, bo jej nie zrozumie, a z tą chwilą, kiedyby twoje oczy przestały na nią patrzeć... żyćby przestała... Ignasiu, oddaję ci dziś jej ciało... bo duch i serce należały już oddawna do ciebie.

— — — — — — — — — — —

Słowa te — z głębi piersi i sercem anielskiem wypowiedziane — podziałały jak prąd elektryczny na klęczącą przy łożu parę... zacisły w ich sercach węzły na wieki... Jednym ruchem rąk objęli matkę... Ignaś łkał cicho... radość i ból mieszały się... walczyły ze sobą kolejno... Nie mówił nic — tylko łkał i zmywał łzami nogi przybranej matce...

— Matuchno... matuchno! — płacząc wołała Helutka i całowała jej czoło... usta i ręce...

Przytuliła się do niej, a serce jej tak biło, że tchu nie mogła schwycić...

— — — — — — — — — — —

Za dużo szczęścia... i za wiele bólu naraz dla tego biednego serca...

— Nie płacz, kotuchno... nie płacz... — prosiła ją matka, gładząc jej włosy — bo gdyby Wszechmogący powołał mię do siebie... i to serce matki, które cię tak ukochało... to zostanie ci on, który ci je w zupełności zastąpi... i da ci to szczęście, którego ja, choć najtkliwsza matka, dać ci nie mogłam... Spokojnie przejdę na drogę wieczności, skoro mi Stwórca pozwolił patrzeć na ślub waszych serc..

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Słońce ozłociło po tych słowach łoże chorej... jak w aureoli jaśniała ta grupka szlachetnych istot... a serca tych trojga przebarwiły swem uczuciem złote promienie w tęczę, po której przeszła dusza ukochanej i jedynej matki do wieczności... uszedł anioł ziemski... który ich związał stułą z tkaniny serc...

— — — — — — — — — — —

W uścisku Ignasia i Heluty pozostały tylko jej martwe zwłoki... a na zadatek ich przyszłego szczęścia... łzy...

— — — — — — — — — — —

Heluta przebiegała swą myślą, osrebrzona blaskiem seledynowej, przecudnej nocy... wszystkie kąty ich miłości... przeglądała jak księgę z przepięknymi obrazkami... i śmiała się błogo na widok każdego z osobna, jak dziecię do kosztownego cacka...

Przy niejednem wspomnieniu zadrżała na całem ciele... wyciągała swe rączęta... jakby je chciała pochwycić... opleść, jak wonny powój wiklinę nadbrzeżną... która, jak chytra i zazdrosna kochanka — kryje błękitne nurty naszej Wisły... i pije skrycie i chciwie z jej nurtu rosę... tak — jak pije dziewczę z drogich ust miłość... bez przerwy... do dna... do boskiego omdlenia... aż oczy, siejące żarem miłości... pokryje tajemniczy całun rozkoszy... tęczowa mgła...

— — — — — — — — — — —

Heluta zapadła w błogi, rozkoszny pół-sen. Przytuliła się do poręczy ławki... usteczka rozchyliła jak paproci kwiat swój misterny tajemniczy kielich o pół nocy... jej ciałko prężyło się... wydawało zawrotną, upojną woń... pierś falowała szybko... jakby palona wewnętrznym ogniem miłości...

— — — — — — — — — — —

Jakiż on inny, różny od tych młodych ludzi, których do kobiety popycha tylko instynkt — myślała.

Mam wiele koleżanek — mówiła do siebie — które śniły o królewiczach z bajki, a potem zwierzały mi się ze swych skrycie przepłakanych nocy, prawie wszystkie doznawały zawodu...

Bo „panicz" strawił całą młodość na hulankach, włóczył się po handelkach, kawiarniach, szastał się z kobietami z półświatka, dochodził do pieniędzy nieraz w najnieuczciwszy sposób... byle użyć...

Całe człowieczeństwo składało się u takiego „panicza" z dobrze skrojonego ubrania (na wypłat!), z wypomadowanych na głowie włosów, lakierów, nóg cienkich jak zapałki, pogardliwie obwisłej wargi, czasem monokla... no i blagi.

Tacy ludzie wyczerpują się w małżeństwie za kilka dni nawet... są podobni do zmiętej rękawiczki... nie mają sobie więcej nic do powiedzenia... bo tajemnica życia wyczerpała się już wczesną młodością... w zaraniu... Udają, wyszukują różne powody, żeby się wysunąć z domu, a wkońcu zupełnie powracają do pierwotnego trybu życia.

I niejedna z tych kobiet, dziewicza i świeża jak jagoda... czekała na przyjście męża, trawiona żarem miłości... konała i wiła się z bólu i zawodu w przepychach koronek w sypialni... a mąż grał po całych nocach w karty, albo kolędował przy bufetach ze sforą starych pijaków.

Te „uciechy" zastępują mu zupełnie miłość kobiety, żony... a jej marzenia rozwiały się w puch... znikły jak bańka na wodzie, runął wyśniony gmach szczęścia i ołtarze z mirtu, które niejedno biedne serce dla swego bożka stawiało.

Wraca taki „wstawiony" bożek miłości... do kochającego serca kobiety... w ustach wszystkie gatunki alkoholu i resztki kanapek na wąsach... czkawka. Chwieje się na nogach i skołczałym językiem usiłuje przemówić, dowieść jej, że on ją przecie kocha... monologuje... Widok i zapach takiego męża przestrasza kobietę, jak spostrzeżenie zimnej jaszczurki na jej rozpalonej piersi...

Ale jest mu posłuszną, choć ze wstrętem, dla świętego spokoju, żeby nie wyprawiał awantur po nocy, żeby ukryć wstyd przed uchem i okiem ludzkiem... a serce trzepie się jak ptak i krzyczy... jakby jastrząb zatopił w nie swe ostre szpony...

— — — — — — — — — — —

Brrr!... przeszedł ją mróz do szpiku kości... Umarłabym... myślała...

Znała dużo tych tajemnic małżeńskich, myślała o nich z lękiem i porównywała ko swych koleżanek ze swem promiennem, idealnem szczęściem.

Ileż to takich kobiet szlachetnych marnieje... kona moralnie i fizycznie... więdnie, jak chwastami życia uduszony, delikatny kwiat... A życie jest cudne, pełne tajemniczych, czarownych i przesłodkich toni... tylko trzeba umieć żyć... sercem... trzeba się utrzymać na wyżynie życia... nie staczać do brudów... trzeba się starać, chcieć... żeby w małżeństwie nie wypaść z roli przepięknej — kochanka i kochanki... bo życie jest tylko jedno!!... A potem ciemnia... straszny i zimny grób...

— — — — — — — — — — —

Jakaż jam z moim Ignasiem szczęśliwa... Heluta pod wrażeniem tej myśli zbladła... coś w jej jestestwie drgnęło... poczuła się matką...

Rumieniec wystąpił jej na twarz... opanował ją jakiś dziwny, błogi lęk szczęścia... Komuż ona się zwierzy... z kim podzieli tą radosną nowiną... kiedy matka pod mogiłą... a on... nie wie, gdzie i dokąd odjechał... bo stanowisk wojsk zdradzać nie wolno...

Skryła tą słodką tajemnicę pod sercem...

— — — — — — — — — — —

Zerwała się potem na równe nogi... biegła, jak sarenka, do willi... wpadła do swego panieńskiego pokoiku, z którym i po ślubie się nie rozstała i nie pozwoliła nic zmienić w tej „świątyni dumania"... ukryła twarzyczkę w dłoniach... przędła nić czarownych, złotych snów... była przy nim... w okopach...

Objęła go za szyję .. całowała i pieściła bez końca, droczyła się, przekomarzała... nie powiem... nie... nie... nie... a potem objęła rączętami jego głowę... i długo... długo szeptała mu jakąś arcyważną, rozkoszną tajemnicę do ucha... aż ją sen zmógł... i zasnęła...

— — — — — — — — — — —

Uśmiechała się... szczęśliwa..., bo we śnie wykradła niebu część raju...

— — — — — — — — — — —

Patrzyła z zachwytem, jak Ignaś promienił się ze szczęścia...

A potem uciekła od niego na parę kroków, przystanęła... i przechyliwszy główkę — śmiała się, jak jagoda czerwonem liczkiem do słonka...

Niby mecenas sztuki... z odległości... patrzyła na Ignasia, na obraz szczęścia i radości, jaki wywołało na twarzy jego zdradzenie słodkiej, przemiłej, rozkosznej tajemnicy... niewysłowionego szczęścia...

— — — — — — — — — — —

Jak wicher stepowy powiał do niej... oplótł rękami jej uroczą postać, podniósł ją do góry...

Zawisła w powietrzu... na jego drogiej piersi...

Całował tak gwałtownie jej usta, oczy... że omdlewała z nadmiaru szczęścia... leciała w przepaść rozkoszy...

Uniósł ją gdzieś w nieznany kraj... weszli przez bramę żywego, przecudnego kwiecia... na nieprzejrzane łąki... morze kwiatów... cud...

Tam ją ułożył... pieścił tak rozkosznie, że traciła zmysły... drżała...

Słonko zatoczyło już wysoko swój złocisty rydwan na strop niebieski, cudny jak włoskie niebo, zaglądało ciekawie przez okno do jej panieńskiego pokoiku, ślizgało się po różowych, misternych mebelkach, załamywało się w złoconych, polerowanych okuciach, strzelało snopami promieni..., a Helutka nie przebudziła się jeszcze z czarownego snu, błądziła z Ignasiem po kwietnej, cudnej łące... piła z jego ust niebiańską mgłę miłości...

Jej śnieżną pierś, przez miłe ciepło lekko zaróżowioną, przepiękną, otulały i kryły tajemniczo, ponętnie, misterne roboty koronki, falowały rytmicznie z tą cudną piersią...

Na ustach igrał błogi uśmiech. Słonko... jakby zazdrosny, ale zarazem najczulszy kochanek... doszukało się jej różowego ciałka... chciało podsłuchać i wydrzeć z jej piersi drogą tajemnicę... pieściło i grzało promieniami jej pierś... jakby chciało stopić to ciałko... żeby się dostać do serca... zaglądnąć, co się tam dzieje...

Muskało jej wiśnie-usteczka... chciało rozwiać miłosną mgłę z jej oczu, żeby spojrzeć w nie, wycałować drogą tajemnicę...

Złociło jej jasne, bogate sploty, tworzyło z nich złocistą koronę.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Silniejsze, szczęśliwsze było słonko, wyrwało Helutę z rozkosznych objęć Ignasia... obudziła się.

— — — — — — — — — — —

Na wspomnienie prześnionej nocy dreszcz rozkoszy przeszedł jej ciało. Przeciągła się pod jedwabną kołderką, podniosła rączęta do góry, jakby chciała zatrzymać cudne sny... które zazdrosne rozprószyło słonko...

Przemęczona rozkoszą nocy... błogiego snu... powróciła na ziemię z żalem... jakby ją wypędzono z raju... odepchnięto z uścisków Ignasia.

— — — — — — — — — — —

Za chwilę, ubrana w prześliczny, jakby z przecudnej, mistrzowskiej tkaniny indyjskiej szlafroczek, co uwydatniał jej kształty klasycznie pięknego ciała... weszła do ogrodu.

Była tak piękną, skąpana promieniami rannego słonka, że przechodnie stawali na ulicy i nie mogli oderwać oczu od tej czarującej istoty.

Miłość i tęsknota tak ją wysubtelniły, wypiękniły, że podziw budziła u ludzi.

Obeszła ogród wokoło, porozmawiała z kwiatami, jakby udzielna pani w tem księstwie przyjmowała poddanych na audyencyi, tylko, że jej anielsko piękne oblicze było smutne.

Mówiła, jak sierota... do sierot...

— — — — — — — — — — —

Po śniadaniu wyszła na przyległe do willi pola.

Kroczyła miedzami pośród zbóż, zabarwionych polnymi kwiatami. Dojrzałe zboże złociło się i srebrzyło nieprzejrzanemi płaszczyznami, które falowały, jak przypływ i odpływ spokojnego morza, a maki znaczyły się jak plamy krwi na bogatej, złoto-srebrnej tkaninie.

Zapach zboża silny i odurzający przenikał głębię jej piersi, oszałamiał główkę.

Szła, jak marzenie... jak z bajki królewna... bogini polnych łanów, po miedzach haftowanych kwiatami wonnei macierzanki, przeszywanych poziomkami, jak gorsety wiejskich dziewcząt czerwonymi guziczkami. Szła ku laskowi, gdzie srebrzył się staw.

Obsiadły go nizkie drzewiny o podszyciu gęstego wikla, kaczeńca i tatarczuchu, schroniska krzyżówek i zwinnych cyranek.

Na parę kroków od stawu zadrżały, zatrzęsły się listki osiki, jakby je przejął miły dreszcz na widok Heluty.

Wsiadła do łódki i odbiła od brzegu.

W stawie zawrzało... Złote karpie, które grzały się na słońcu, pływając wierzchem wody, zoczyły łódź i białą w niej plamę i jak bażanty na świst leśnika „do futra", rzuciły się do łodzi.

Znały ją, opiekunkę i dobrodziejkę, oddawna.

(Dokończenie nastąpi)

Gorlice w gruzach.

Podczas ostatnich walk w Galicyi zachodniej, które zostały uwieńczone tak niezwykłym, a szybkim sukcesem, najbardziej ucierpiały Gorlice, które tuż przed samem wyswobodzeniem z pod inwazyi rosyjskiej przeżyły straszne dni, gdyż znalazły się w ogniu walki. Samo miasto ostrzeliwano ogniem artyleryjskim, gdyż znajdowały się w niem rosyjskie rezerwy, kolumny kawaleryi i furgony. Potem dostały się pod ogień ciężkich dział rowy strzeleckie, położone tuż koło miasta. Wówczas zaczęły z miasta uciekać furgony. Był to sygnał odwrotu. Rowy te znajdowały się od zachodu, północy i południowego wschodu. Przez jakiś czas ostrzeliwano je najcięższymi granatami, a potem poszli do roboty saperzy, którzy, gdy ogień skoncentrował się znowu na miasto, ruszyli ku zasiekom z drutu kolczastego. Część drutów zniszczyła już artylerya, resztę saperzy, potem ruszyła do ataku piechota. W rowach strzeleckich stoczyła się walka krótka, ale zaciekła, na białą broń. Wielu Rosyan zginęło już poprzednio od pocisków artyleryi i od granatów ręcznych. Reszty dokonała piechota, która nie zatrzymała się długo w rowach nieprzyjacielskich, gdyż pościg szedł niepowstrzymanie dalej.

Tymczasem miasto płonęło. Na Gorlice spadła klęska może jeszcze większa, niż w r. 1874, kiedy to dnia 3 października spłonęło prawie całe miasto. Pożar zniszczył wtedy 437 zabudowań i kościół, przyczem spaliły się akta starostwa, Rady powiatowej i Rady miejskiej. Teraz całe prawie miasto legło w gruzach. Pociski armatnie i pożary zniszczyły prawie wszystkie budynki. W całem mieście ocalało zaledwie 40 domów. Między innemi zostały zniszczone lub silnie uszkodzone: gmach gimnazyum, Sokół, ratusz, nowy kościół, urząd pocztowy i wiele innych gmachów.

Przez cały czas $4^1/_2$ miesięczny zburzono pół miasta, spalono jedną trzecią jego część, ostatnia zaś bitwa pochłonęła resztę. Mury spalonych domów, potrzaskane granatami przedstawiają straszny widok. Cały rynek i całe śródmieście w gruzach i zgliszczach. Część miasta między cmentarzem (gdzie były najgwałtowniejsze walki) a Rynkiem przedstawia się jako jedna kupa gruzów.

Cmentarz zupełnie rozkopany przez pociski armatnie. Potrzaskane trumny, z których wypadły zwłoki, i szczątki pomników zasłały cmentarz, a gdy później zawrzała tam walka na białą broń, żołnierze zabici i ranni leżeli pośród rozwalonych grobów i trumien... Straszny, okropny obraz...





Jeńcy rosyjscy w Nowym Sączu. **Pogrom Rosyan w Galicyi:** Przewóz ciężkich armat na linię bojową.

Miasto zostawało pod ogniem ciężkiej artyleryi przez 18 godzin w dniu 2 i 3 b. m. Od kul padło w mieście około 300 osób cywilnych. Liczba to ogromna, jeśli się zważy, że w mieście pozostało tylko tysiąc kilkaset osób. Straszliwe krzyki rozszarpywanych mieszały się z rykiem dział, strzelających po 30 do 40 razy na minutę.

Strzały armatnie biły gęściej, niż karabin maszynowy. W kilkunastu godzinach padły na miasto tysiące granatów. Poszczególnych strzałów nie było już słychać, tylko jeden straszny huk i dudnienie, jak w piekielnym kotle.

Pod tym okropnym ogniem zaczęła się paniczna ucieczka Rosyan, którzy podpalali resztę całych do-





Gorlice w gruzach: Urząd pocztowy zniszczony granatem.



Gorlice w gruzach: Zwłoki rosyjskich żołnierzy, poległych podczas ataku na bagnety pod Gorlicami

mów, aby w dymie zasłonić swój odwrót. Ale to szkodziło im tylko. Nadzwyczaj silny pożar, podsycany wichrem, zapełnił wszystkie ulice gryzącym dymem. To też usiłowania oficerów rosyjskich, aby jeszcze w ulicach stawiać opór i bronić odwrotu, już nie pomogły. Żołnierze rosyjscy uciekali w popłochu, nie zważając na oficerów, gubili w dymie drogę, ogłuszeni i oślepieni hukiem eksplodujących granatów.

O strasnem piekle, jakie przeżyli mieszkańcy Gorlic, daje pojęcie opowiadanie jednego z jeńców, Polaka z pod Warszawy, który walczył w szeregach rosyjskich pod Gorlicami:

„Prawie od początku wojny — mówił ów jeniec Polak — brałem udział w kilkudziesięciu potyczkach, zawsze wychodząc cało. W armii rosyjskiej, tak u oficerów wyższych i niższych stopni, jak i u żołnierzy, od początku wojny wyrobione jest zdanie co do bitności armii sprzymierzonych, w szczególności obawiają się żołnierze rosyjscy ataku na bagnety. Pod Gorlicami, gdzie nas zabrano, najpierw w okropny sposób zaczęła szerzyć spustoszenie w szeregach rosyjskich okopów artylerya: było to coś, czego opisać nie można. Tysiące strzałów, huk, jak gdyby wszystkie góry i skały waliły się, a w powietrzu na kilkadziesiąt metrów w górę wyrzucane kawały ziemi, drzew i ciał ludzkich.

Staliśmy w sile jednego batalionu w rezerwie w trzecich okopach. Gdy z okopów pierwszych i drugich ani ślad nie pozostał, jeno jakieś bezkształtne kupy ziemi i ciał ludzkich — dano znak do ataku.

Widziałem, jak nagle sołdaci zaczęli się żegnać trzykrotnie. Z twarzy uciekła wszelka krew. Powtórzono rozkaz do ataku: ludzie stali w miejscu skamieniali. W tej samej prawie chwili ustała ta straszliwa kanonada i usłyszeliśmy w oddaleniu jakich dwóch kilometrów okropny okrzyk: „Hurra!“ Mimowoli staliśmy dalej w miejscu, chociaż po raz trzeci padła komenda. Nagle przed nami i na bokach naszych zaroiło się od żołnierzy austryackich. Pędzili z karabinami w ręku, z nasadzonymi bagnetami, jakby gnani jakąś furyą. Co się dalej działo, już nie pamiętam, utkwiła mi tylko w głowie ostatnia komenda naszego oficera, Małorusa z pod Kijowa:

— Poddajtieś!

Atakujący popędzili naprzód, nas zostawiono i dopiero po kilku minutach druga linia atakujących zabrała nas.

Ci jeńcy — kończył swe opwiadanie jeniec — których tu panowie widzicie, to tylko rezerwy z tylnych okopów. To, co było w okopach przednich, przemieniło się w stosy porozrywanych trupów“.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Grób majora Wilhelma v. Hammersteina (męża znanej artystki teatru w Wiedniu) w Nowym Sączu.



Zwłoki rosyjskich żołnierzy pod Gorlicami.



Gorlice w gruzach: Zniszczone szańce rosyjskie.

Pogrom Rosyan w Galicyi.

Nie ulega wątpliwości, że klęska, jaką ponieśli Rosyanie podczas ostatnich walk w Galicyi, przechodzi swemi rozmiarami i skutkami pamiętny pogrom armii rosyjskiej nad jeziorami Mazurskiemi. Tam wzięto do niewoli około 100.000 Rosyan, gdy obecnie liczba jeńców dochodzi już do 150.000, przyczem zwycięstwo to ma niewątpliwie donioślejsze znaczenie strategiczne. W zadaną Rosyanom klęskę wciągniętą została nie tylko trzecia armia Radki Dmitriewa, lecz także ósma armia jenerała Brusiłowa, po czę ci zaś także jeszcze armia rosyjska, która operowała na wschód od Użoka aż pod Wyszków. Cała ta masa wojsk rosyjskich, dochodząca prawdopodobnie do 700.000 żołnierza, wypartą została rozpędem ofenzywnym armii sprzymierzonych lub też, w następstwie tej klęski, była zmuszona cofnąć się z okupionych tylu ofiarami pozycyi i dokonać odwrotu na froncie 500 kilometrów długości.

W czasie zaledwie dwunastu dni zwycięskie armie sprzymierzone zdołały oswobodzić od inwazyi nieprzyjacielskiej całą środkową Galicyę, odzyskać pas ziemi szerokości 130 kilometrów. Wraz z wydartem nieprzyjacielowi północnem podgórzem karpackiem odzyskana przez to zwycięstwo część Galicyi obejmuje przeszło 15.000 kwadratowych kilometrów, a wraz z wolnymi już powiatami stanowi połowę kraju. W rozprzężeniu, częściowo w straszliwym popłochu pobite armie rosyjskie cofają się za linię Sanu, usiłując przez szybką ucieczkę uniknąć całkowitego pogromu.

Zwycięstwo nie pozostało nadto bez wpływu także na front bojowy w Królestwie Polskiem, gdzie nieprzyjaciel został zmuszony do opuszczenia swych pozycyi nad Nidą, na których bronił się przez blisko pięć miesięcy.

Ostatnie walki w Galicyi stanowią też niewątpliwie zwrotny moment w przebiegu całej kampanii, a na dalsze ich następstwa nie długo z pewnością będziemy czekać. Pobite i rozgromione armie rosyjskie nie są już w stanie stawić silniejszego oporu, nie mówiąc już o zdolności do ofenzywy.

Znaczna część kraju odetchnęła po kilkomiesięcznej inwazyi nieprzyjaciela, który zaczął już uważać Galicyę za swą własną prowincyę. I ten sukces ma też doniosłe znaczenie polityczne, bo przekona Rosyan, że trochę zawcześnie zabrali się do „urządzania“, t. j. rusyfikowania Galicyi, skąd dziś w takim popłochu muszą uciekać.





Przejazd artyleryi przez Nowy Sącz. **Pogrom Rosyan w Galicyi:** Przejazd trenu przez Nowy Sącz.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Wspólne groby żołnierzy, zmarłych w Nowym Sączu wskutek odniesionych ran w walkach pod Gorlicami.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Wiadukt kolejowy koło Grybowa, odbudowany przez austro-węgierskich saperów.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Żołnierze naprawiają drogę zniszczoną granatami.

Oryginalny typ żołnierza rosyjskiego.

Gigantyczna wojna, która rozpostarła skrzydła nad całą prawie Europą, oprócz rzeczy przejmujących zgrozą, zadziwia czasami czy to wybrykami pocisków, czy też zniszczeniem, czy wreszcie oryginalnymi typami żołnierzy.

Kolorowe wojska na zachodnim froncie, rozmaitość koloru mundurów przejdą do historyi obecnej wojny, jak również typy poszczególnych postaci.

Już od dawna krążyły wiadomości o brakach intendantury rosyjskiej, jak również o braku uzbrojenia. Bezbronne wojska rosyjskie maszerowały na tyłach rosyjskich armij, aby w chwili, kiedy uzbrojeni żołnierze padną, odziedziczyć po nich broń i walczyć.



Warsztaty kobiece w Zakopanem: Kierowniczka warsztatów, pani Antonina Uzięblina i dr J. Diehl, redaktor „Zakopanego".

Pojmani jeńcy rosyjscy w większej części robią wrażenie ludzi fizycznie wycieńczonych, źle odżywianych i obszarpanych.

Jeden 'z takich typów przedstawia nasza illustracya. Jest to żołnierz rosyjski, schwytany do niewoli w lasach kruszyńskich, w gubernii piotrkowskiej.

Warsztaty kobiece w Zakopanem.

Niedola wojenna wyzwoliła na całym obszarze ziem polskich samopomoc społeczną. Na krańcu południowym Ojczyzny, w Zakopanem, pierwszym (poza dorywczą akcyą zapomogową) jej objawem są „Warsztaty pracy kobiet", założone dzięki zabiegom Komitetu obywatelskiego, w którym skupiły się do pracy narodowej najpoważniejsze żywioły z pośród stałych mieszkańców i „gości", pod przewodnictwem hr. Jana Potockiego z Rymanowa.

Niestrudzoną opiekunką warsztatów, w których wykolejone losem wojennym panie mają sposobność zarobku i zasługi społecznej, jest pani Stefanowa



Warsztaty kobiece w Zakopanem: Budynek na Krupówkach, w którym mieszczą się warsztaty.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Kuchnia polowa.

Żeromska. Kierowniczką warsztatów, umiejętną i gorliwą przodownicą w ich pracy codziennej jest pani Antonina Uziemblina, dyrektorka znanego w całym kraju „Kilimu".

Obrazek nasz przedstawia „Bazar Polski" na Krupówkach, fotografowany w lecie 1914 r. w chwili przemarszu zakopiańskiej kompanii legionowej, wracającej z ćwiczeń. W górnej sali tego gmachu mieściła się przez pół roku intendantura Legionów, obecnie są tam warsztaty kobiece.

Na obrazku drugim widzimy panią Uziemblinę podczas rozmowy z dr. Józefem Diehlem, redaktorem czasopisma „Zakopane", o planach dalszej pracy w warsztatach, które prócz robót krawieckich, szycia i naprawy bielizny, mają niebawem otworzyć i inne działy.

Szczęść Boże! — dobrym ludziom i ich pożytecznej pracy.



Ofiarom wojny: Cmentarz wojskowy w Chrzanowie.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Pobojowisko pod Gorlicami

Niezwyciężony.

Przysłowie „silny jak dąb" trafnie zostało wzięte z pośród gatunków drzew, gdyż najtwalszem z drzew i najdłużej istniejącem jest właśnie dąb. Słusznie też dzierży on królestwo, czego dowodem nasza illustracya, która przedstawia tysiąc przeszło lat istniejący dąb w Widzewie, w Królestwie Polskiem.

Nie zniszczyły go burze i huragany, piorun nie zdołał potrzaskać, ani też wreszcie i wojna nie zmogła kolosa drzewnego, choć pociski armatnie gęsto w niego godziły.

Jak widać na naszej illustracyi, w pniu świecą olbrzymie dziury, wyżłobione szrapnelami i granatami rosyjskimi.

W kryjówce takiej, wyżłobionej przez pocisk, pomieścić by się mogła rodzina, złożona z kilku osób.

Ofiarom wojny.

Począwszy od listopada zeszłego roku, t. j. od czasu walk staczanych na granicy powiatu chrzanowskiego, funkcyonują w Chrzanowie szpitale wojskowe, w których zarówno ranni, jak i zaraźliwemi chorobami dotknięci żołnierze są pielęgnowani. Na czele tych szpitali stoi obecnie docent uniwersytetu w Pradze, dr. Kose. Z pośród znacznej liczby żołnierzy, którzy w tych szpitalach znaleźli opiekę, zmarło dotychczas 222. Z tych pochowano na cmentarzu miejskim 51, a dla 171 urządzono cmentarz, którego zdjęcie fotograficzne podajemy. Urządzeniem tego cmentarza, które wymagało wiele nakładu pracy, zajął się komendant stacyjny w Chrzanowie, kapitan Hrabal z pomocą żandarmeryi, firmy Kulka i sp. w Opawie, fabryki cementu w Szczakowej i funkcyonaryusza kolejowego z Chrzanowa, Porazka. Urządzenie tego cmentarza daje świadectwo pietyzmu, z jakim zabrali się do dzieła inicyatorowie. Na poszczególnych grobach umieszczone są krzyże, zaopatrzone napisami, a w środku cmentarza wybudowano pomnik z kamienia 4 metry wysoki z napisem: „żołnierzom i obrońcom ojczyzny w wojnie światowej 1914/15". Urządzenie tego cmentarza spotyka się z uznaniem rodziców i krewnych przedwcześnie zmarłych, którzy zrządzeniem losu zmarli zdala od ich ognisk rodzinnych i których śmiertelne szczątki nie mogły być złożone na wieczny odpoczynek obok ich rodzin.



Pogrom Rosyan w Galicyi: Groby pojedyńcze żołnierzy, zmarłych w Nowym Sączu wskutek ran odniesionych podczas walk w Karpatach.

J. Stankiewicz.

Fotografia mojej żony.

(Zdjęcie migawkowe z krakowskiego atelier).

Mija właśnie okrągło pięć tygodni, jak wracając koło południa ku domowi, cieszyłem się już w drodze na samą myśl poobiedniej drzemki, która przemęczonemu pracą dzisiejszemu człowiekowi daje tak błogą chwilę wytchnienia i kojąco działa na nękany dobą obecną umysł biednego biuralisty. Ledwo jednak otworzyły się drzwi mego mieszkania ukazała się w nich sympatyczna twarz mej żony Kunegundy, zdradzająca jakieś zdenerwowanie. Przeczułem coś niedobrego a ciałem mem wstrząsnął dreszcz. Kundzia z miejsca zawołała:

— Czytałeś już?

— Co, Kundeczko? — pytam spokojnie, jak przystało na umiarkowanego małżonka, tymczasem...

— Czytałeś czy nie?! Odpowiadaj gamoniu jak do ciebie mówię! — ponawia swą prośbę moja najdroższa.

— Niczego nie czytałem. „Nowości“ może? Jeszcze duszko nie wyszły.

W duszy mej magnifiki zawrzało, a z ust popłynął strumień nie zawsze krasomówczych zwrotów. Nim zdążyłem zdjąć paltot, wiedziałem już o wszystkiem. Znowu — naturalnie — ewakuacya. Kundzia zdążyła już przeczytać cały plakat, umiała już prawie na pamięć wszystkie wyszczególnione w nim paragrafy, najbardziej jednak utkwił jej w głowie punkt, nakazujący postarać się o legitymacyę z fotografią.

Orzekła, że pójdziemy jeszcze dziś do fotografa, a na moją potulną uwagę, że nie jadłem jeszcze obiadu, odparła dobrotliwie:

— Ale — prawda — zapomniałam. Ale widzisz o ewakuacyi mówi już całe miasto, więc i ja musiałam przeczytać afisz. Przed tablicami w Rynku stały tłumy ludzi, chodziłam po całem mieście, żeby się docisnąć do plakatów. Zawsze to lepiej wiedzieć dokładnie, co człowieka czeka.

Kundzia poinformowała mię dalej, że afisz od *a* do *z* przeczytała dopiero gdzieś na Wielopolu, że (rzecz jasna) nie było czasu na przygotowanie obiadu i że z tego to powodu, kupiła mi szynki za 30 halerzy, która miała mię nasycić do wieczora. Jeżeli myślicie państwo, że skonsumowałem ją w spokoju, mylicie się srodze.

Kundzia przystąpiła od razu do swej toalety, mizdrzyła się na wszystkie strony do lustra, ale znalazła mimo to chwilę czasu, by posiłek zatruć swemi uwagami na temat oszczędności mej odnośnie do sprawiania jej nowych sukien i kapeluszy:

Zagłębiłem się w sobie i nie oponowałem. Wreszcie oznajmiła uroczyście:

— Jestem gotowa...

— A dzieci — mam ich nie chwaląc się siedmioro — a dzieci, przecież i one muszą mieć także fotografie.

— Naturalnie, ale na zdejmowanie ich nie ma dziś czasu. Pójdziesz sam z niemi w niedzielę, nie będziesz chyba wymagał, żebym ja maszerowała z całą dziecianią naraz.

Poszliśmy tedy do fotografa. Kundzia wybrała zrazu najtańszego, potem się zastanawiała, czyby nie iść do najdroższego („taka fotografia to przecież pamiątka“), wkońcu znaleźliśmy się u mistrza, który wydawał się mej magnifice nie zbyt wymagającym ani nie za tanim, a u którego spodziewaliśmy się zastać jak najmniej klientów.

Przeczucie Kundzi zawiodło niestety, odwrót z czwartego piętra, gdzie mieściło się atelier, nie był zachęcający.

W ciasnym saloniku, ze ścian którego patrzyły na nas ogromne, nienaturalnie wykrzywione twarze ludzkie, znajdowało się — nie przesadzam — z czterdzieści do pięćdziesięciu osób. Ten podkręcał wąsa, tamta poprawiała do lustra fryzurę niebotyczną, na niektórych twarzach modlitewne skupienie, inne przebiega grymas zawczasu przygotowywanego uśmiechu lub sztucznej powagi. Fotografa niema, zdejmuje w drugim gabinecie jakiegoś szczęśliwca, który zdołał pójść na pierwszy ogień, uprzedzając oczekującą potulnie gromadę. Wreszcie operacya z tamtym skończona. W drzwiach ukazuje się pan życia i śmierci.

Z miną conajmniej udzielnego księcia zwraca się w stronę klientów. W okamgnieniu pochyla się ku niemu jakaś kobiecina, czyni ruch, jakby chciała pocałować go w rękę (nie kłamię — jak Kundzię kocham) i prosi — nie — błaga:

— Chciałam sobie zamówić fotografią...

— Gabinetową czy wizytową?

— Nie, proszę łaski wielmożnego pana — ewakuacyjną!

Śmiech. Kobiecina cała w pąsach, nie wie bowiem, czy przypadkiem nie obraziła fotografa. Z zamieszania chwilowego korzysta Kundzia i majestat jej wkracza tryumfalnie do gabinetu, na oszklonych drzwiach którego bieleje świeżo namalowany napis:

UPRASZA SIĘ PŁACIĆ GOTÓWKĄ!

Kości były rzucone. Fotograf stanął wobec faktu dokonanego (*fait accompli*) i rad nie rad, mimo protestów rzeszy oczekującej w drugim pokoju, musiał przystąpić do zdjęcia portretu Kundzi, a więc i mojego. Kundzia trochę grymasiła, ale gdy po upływie półgodziny opuszczaliśmy atelier, na obliczu jej wyczytałem wyraz zadowolenia. Zapłaciła za dwanaście fotografii gotówką, nie targując się wbrew zwyczajowi, upominała tylko, żeby odbitki gotowe były w umówionym terminie t. j. za tydzień.

— Zakład mój odznacza się rzadką punktualnością — z godnością odparł fotograf.

Wyszliśmy. Zaledwie oddaliliśmy się kilka kroków natknęła się Kundzia na sąsiadkę swą z drugiego piętra p. Kwaśnicką, z którą *ex re* jakiegoś konfliktu na strychu znajduje się na stopie wojennej. Zamieniły jadowite spojrzenia, a Kundzia oznajmiła mi na ulicy:

— Gdybym wiedziała, że ta marmuzela Kwaśnicka da się też tam zdejmować, wcalebym tam nie przychodziła...

Stało się. Musnąłem pulchną rączkę Kundeczki i udałem się do biura, gdzie zjawiłem się o całe trzy kwadranse za późno, wytłumaczyłem się atoli szefowi, który zresztą też jest już żonaty.

Zrana w najbliższą niedzielę zabrałem dziecianię do fotografa, skąd wróciłem dopiero gdzieś koło czwartej popołudniu.

Tydzień, dzielący mię od terminu, w którym miałem się zgłosić po fotografie, wydawał się małżonce mej nieskończenie długim.

— Żeby tylko dobrze mię zrobił, bo to i dzieciom coś zostanie po matce i znajomi będą mieli uciechy prezent...

Nareszcie przyszedł dzień upragniony. Nie wiem napewno, ale zdaje mi się, że Kundzia nocy poprzedniej nie spała, a kiedy udałem się po fotografie, (Kundzia miała dnia tego pranie) oczekiwała mię, wychylona z okna.

Los był nieubłagany. Zziajany, dotarłem na wyżyny czwartego piętra, gdzie fotograf oznajmił mi dramatycznym głosem:

— Niestety! Nie mogę służyć odbitkami! Stało się nam nieszczęście, rura doprowadzająca wodę do zakładu pękła.

Nie zdaję sobie dobrze sprawy, w jakiej mierze przyczynia się wodociąg do fotografowania mieszkańców Krakowa, więc przypomniałem obietnicę terminowego wykonania fotografii.

Na to mistrz miał odpowiedź gotową.

— Szanowny panie! Klient znaczy dla mnie więcej, jak ojciec, co mówię, jak matka... Ale wobec klęsk elementarnych jesteśmy bezradni.

Cóż miałem począć? Poskrobałem się w łysinę i odszedłem, skłaniając się do przypuszczenia, iż fotograf ma może racyę. Kundzia była zdania wręcz przeciwnego. Ile razy powiedziała mi gamoniu, nie pomnę. Dlaczego sama nie poszłam — wyrzucała sobie w bezsilnej rozpaczy — Ubieram się... niech go tylko zobaczę!

Wiedziałem, czemby się to skończyło. Nastąpiły z mej strony perswazye, prośby i — zdaje mi się — groźby. Kundzia została w domu, w dwa dni później wyprawiła się do fotografa na skrzydłach. Wróciła zachrypnięta, z wypiekami na twarzy, opryskliwa, dowód, że fotografii jeszcze niema.

— Jeszcze elektryczność nie naprawiona — oświadczył jej fotograf.

— Jaka elektryczność, przecież pan mówił o wodociągu?

Przez oblicze fotografa przeszedł lekki rumieniec, ale nie stracił rezonu.

— Bo, proszę łaskawej pani, po naprawieniu wodociągu zepsuła mi się zaraz elektryczność... — odrzekł ze słodkim spokojem, który niechybnie małdzię wyprowadził z równowagi; w jakim stopniu, nie zdaję sobie sprawy, ale zachrypnięty głos Kunżonki dawał rękojmię, że nie prędko dała się przekonać. Przeżyłem kilka dni na wulkanie. Dzień w dzień wdrapywałem się na czwarte piętro i dzień w dzień dowiadywałem się w atelier: „Jeszcze nie zrobione, ale ręczę wielmożnemu panu, że jutro już napewno“.

Fotograf przykładał rękę na piersi, gest ładny i wiele mówiący, jak też można było nie wierzyć? A Kundzia, zapytacie? Obrała znaną, wielokrotnie używaną metodę:

— Wszystko przez ciebie niedołęgo, tyś wszystkiemu winien.

Wiem, żem winien jestem coś jeszcze krawcowi, ale w danej kwestyi Kundzia nie miała absolutnie racyi. Sama przecież wybrała sobie fotografa.

Przekonać Kundzię, że było inaczej, to praca więcej jak syzyfowa, nie próbowałem tego nawet. Odwiedzałem jeszcze kilka razy solidnego fotografa, zawsze bez skutku i bez wzruszenia na jego twarzy. Ta sama angielska flegma, którą obserwowałem podczas pierwszej wizyty u niego, cechowała go zawsze. Być może dlatego, iż w czasie ostatnich tygodni poczciwina, znajdujący zawsze jakiś logicznie umotywowany wybieg, dla którego nie dostarczył na termin zamówienia, zaznajomił się znakomicie z krakowskim słownikiem soczystych wyrażeń, których nie szczędzili mu w gorącej krwi kąpani Krakowianie.

Nareszcie fatum zmiłowało się nademną.

Fotograf, zapewne wyznawca sentencyi, że za wiele wzruszeń naraz szkodzi, ofiarował mi wspaniałomyślnie po jednej sztuce podobizn małżeńskich.

— Nie chciałem szanownemu panu zrobić zawodu. Na legitymacyę na razie wystarczy, reszta jutro, napewne jutro! Muszę jednak szanownemu panu zwrócić uwagę, że materyały podskoczyły w cenie, będę prosił o łaskawe dopłacenie jeszcze dwóch koron do zapłaconej już kwoty.

— Przecież wiedział pan o tem przy zamówieniu!

— Niestety, szanowny panie, dopiero przed kilku dniami dowiedziałem się.

Zapłaciłem, westchnąłem i rad, że zdobyłem choć dwie podobizny, pędzę do domu, chcąc pochwalić się Kundzi zdobytym tak trudno plonem mej niekończącej się wędrówki.

Po drodze spojrzałem na fotografie i na głowie stanęły mi włosy (te, które jeszcze posiadam).

Nie używam alkoholu, tymczasem odbitka, trzymana w ręku, przedstawiała jakiegoś notorycznego opoja z ogórkowatym nosem i nabrzmiałymi policzkami. Głupstwo — pomyślałem, byle tylko Kundzię utrafił.

Rzucam okiem na drugą fotografię i czuję, jak nogi podemną zaczynają drżeć.

Biedna Kundziu! Co powiesz na tą przebrzydłą wiedźmę, którą przypominać ma twa osoba!

* * *

Żona moja była dnia tego w wyjątkowem usposobieniu. Zdarzyło się jej jakieś nieporozumienie z panią Kwaśnicką przy trzepaniu dywanów, a smutny ten epizod zaważyć miał na szali przeznaczeń.

Drżącym głosem oznajmiłem:

— Mam już fotogr...

Nie skończyłem jeszcze, gdy trzymany w ręku kartonik dostał się w ręce Kundzi.

— Kto to ma być? — z ostrym świstem przeszywa powietrze.

— No ty, kotusiu!...

— Ja? — jęknęła i Kundzia opadła bezwładna na fotel. Fotografia, wypuszczona z rąk, dostaje się w łapki mej trzyletniej córeczki, dziecka nad wyraz rozwiniętego i intelligentnego.

— Tatusiu, a co to za calownica? — sepleni.

To miało ukoronować dzień nieszczęsny. Kundzia przyszła do przytomności. W ferworze zaczęła mówić tak głośno, że ludzie przystawali na ulicy, a niechcący (tak chcę wierzyć) zrzuciła ze stołu na ziemię lampę (koron 6) i dwie filiżanki (koron 5, bo trzeba odkupić cały serwis do kawy). Córeczka na widok gromowładnej Kundzi zidentyfikowała ją widać z czarownicą, bo zalękła się ogromnie i dostała spazmów. Reszta dziecianii rozpoczyna koncert.

A Kundzia niczego nie widzi i nie słyszy, powtarza tylko na odmiany: Tyś wszystkiemu winien! lub: Wiedziałam, że ta Kwaśnicka przyniesie nieszczęście!

Zrozpaczony biegnę po dorożkę i sprowadzam po długiem szukaniu lekarza do dziecka. Dorożka kosztuje mię 1 K. 50 h., lekarz znajomy zadowalnia się honoraryum w kwocie koron 6, za lekarstwo płacę aptekarzowi 3 K 40 h., fotografowi przy zamawianiu fotografii wręczyła Kundzia 12 K, potem ja dołożyłem 2 K. zliczywszy wszystko sumarycznie otrzymamy 35 K 90 h.

Za tę kwotę mam dwie otrzymane do tej pory kryminalne podobizny, awantury w domu i chorobę dziecka. Reszty zysków nie liczę...

K O N I E C.



Krakowska stacya opatrunkowa: Stacya dla rannych i chorych żołnierzy na dworcu w Krakowie.

Z terenu walk w Królestwie Polskiem.

Tam, gdzie przejdzie huragan wojny, wszystko obraca w ruiny i zgliszcza. W ogniu walki giną ludzie, wsie i miasta, a nawet ulega zniszczeniu i ziemia, poorana i poszarpana granatami.

Wszędzie, gdzie wojna zbierze swoje żniwo, zalega jakaś cmentarna cisza, od której stronią nie tylko ludzie, ale i zwierzęta. Nawet w lesie, gdzie ptactwo i zwierzyna od rana do wieczora w ustawicznym była ruchu, napełniając rozgwarem życia gąszcza leśne, zapanowała teraz pustka i cisza. Pokładły się wiekowe modrzewie, wiecznie zielone sosny z osmolonymi od strzałów wierzchołkami plączą się na ziemi pod nogami. Pełno dziś takich pobojowisk leśnych, a jest to widok tak samo przejmujący grozą, jak i szczątki zniszczonych sadyb ludzkich...

Illustracya nasza przedstawia właśnie takie pobojowisko drzew — las w okolicach Kruszyny w Królestwie Polskiem, zniszczony przez pociski armatnie.



Krakowska stacya opatrunkowa: Personal stacyi z komendantem dr. Soferem w pośrodku.

Kronika tygodniowa.

Jeśli i dziś jeszcze, choć maj się prawie już kończy, ja mimo to nie jestem wcale majowo usposobiony, nie moja w tem wina, ale okoliczności, które spiknęły się na mnie.

Pierwszy kłopot miałem z poprzednią kroniką. Że część jej skreślono, to uważam za rzecz zwykłą, każdy autor musi być do tego przyzwyczajonym i z tem obytym, dziś spotyka to mnie, jutro innego kolegę po piórze, a chyba na całym świecie nie znajdziesz jednego dziennikarza, którył by bodaj raz w życiu nie był skonfiskowanym.

Gorzej jednak, iż i moja stara uzurpowała sobie prawo cenzury mych prac literackich i, otrzymawszy ostatni numer *Nowości Illustrowanych*, wezwała mnie zaraz przed swój majestat, pokazała białe miejsca na kolumnie i pyta:

— A tutaj co było?

— Nie wiem! — odparłem, robiąc bardzo niewinną minę, niczem mały Jaś lub Staś, gdy go matka złapie na gorącym uczynku w szpiżarni z ręką w słoiku konfitur.

— Więc kto ma wiedzieć? Przecież ty pisałeś!

— Gdybym bym napisał. w drukarni byliby z pewnością złożyli, a potem wydrukowali, skoro to się zaś nie stało, *ergo*...

— Nie, mój kochany! Mnie na to nie weźmiesz. Jestem zbyt doświadczona, by się dać w pole wyprowadzić. Gadaj mi zaraz, co tu było?

— Po pierwsze nie wiem, po drugie, to tajemnica redakcyjna, a po trzecie ustawa prasowa wyraźnie powiada, że rozszerzanie inkryminowanych artykułów będzie sądownie karanem. Znając zaś twój język, jestem najmocniej przekonany, że zaraz powiedziałabyś o tem w sekrecie jednej i drugiej znajomej, a zbyt cię kocham, bym mógł na to pozwolić, byś więdła gdzieś w murach więziennych u świętego Michała!

— Już ty o mnie się nie bój! Gadaj zaraz! Wszak przysięgałeś mi posłuszeństwo...

— O ile pamiętam, to nie ja, ale ty składałaś ongi takie ślubowanie. Nie zastosowałaś się dotąd nigdy do tego, ja jednak patrzę przez palce. Rób sobie, co ci się podoba, ale mnie daj spokój!...

Widząc, że z tej beczki nie da rady, chwyciła się innej metody, wiedząc zaś, że przez żołądek najłatwiej trafić do mężowskiego serca, pogładziła mnie, co się jej zresztą rzadko zdarza, pod brodę i, robiąc słodką minę, rzekła:

— Żebyś ty wiedział, jaka dziś znakomita cielęcinka na obiad! Kupiłam kiedyś cały dyszek. Sama ją szpikowałam, bo wiem, że to lubisz...

Poznałem się na taktyce przewrotnej niewiasty i, choć ślinka gwałtownie cisnęła mi się do ust, odrzekłem z całą męską stanowczością, na jaką mnie stać było:

— A ja mimo to nie powiem! Cielęciny jeść nie będę, bo nie wolno... Czytałaś rozporządzenie, iż cieląt zabijać nie należy. Władza wydała te przepisy, a jest ona od Boga postanowioną, więc należy jej być posłusznym.

— Zatem nie powiesz?

— Nie!...

— Ja jednak mimo to muszę wiedzieć, choćbym miała własnoręcznie wykraść skrypt z drukarni!

— Tego nie radzę! Posiedziałabyś sobie za ten figel parę miesięcy, a ja miałbym przez ten czas spokój! — wyrwało mi się niechcący.

— Tak! Ja wiem, że byłbyś z tego zadowolony! Ale nie obawiaj się, to się nie stanie, ja to potrafię załatwić tak delikatnie, że absolutnie nie wejdę w konflikt z paragrafami karnymi!

— Rób sobie, co ci się żywnie podoba. Ja umywam ręce, jesteś bowiem pełnoletnią i powinnaś chyba mieć na tyle oleju, by wiedzieć, co można, a czego nie można... Daj mi jednak spokój, bo przez to twoje gadanie stracę cały apetyt, jaki mam na ową cielęcinkę...

Oblizałem się nieznacznie, choć przypomniał mi się opłakany los owego małżonka, którego połowica żywiła przez cały tydzień cielęcinką, pytając złośliwie:

— A cóż, smakuje panu cielęcinka?...

Tego rodzaju rozmowy powtarzały się przez kilka dni z rzędu, znosiłem jednak cierpliwie te Tantalowe męki, przekonany, iż Anioł Stróż zapisze je na moje dobro w księdze hipotecznej żywota wiecznego i kiedyś je policzy.

Nie puściłem pary ze siebie. Weronisia próbowała i innych środków, na nic się przecież nie zdały, potrafiłem utrzymać język za zębami i miałem ogromną frajdę, widząc, jak stara schnie z ciekawości.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że to jedyny kłopot kronikarski z ubiegłego tygodnia... Owszem, pech mnie prześladował na każdym kroku, czego najlepszym dowodem, iż, wyłażąc z wozu tramwajowego, złamałem swój jedyny parasol, na którego drutach otrzymywałem z całego świata najpewniejsze wiadomości polityczne.

Jeśli więc teraz zdarzy się, iż moje prognozy polityczne się nie spełnią, niechaj nikt się nie dziwi, muszę bowiem używać telegrafu bez drutu, a ten czasem zawodzi.

Posądzi mnie kto może, że zapatrzyłem się na którą z konduktorek i to spowodowało nieszczęście, wytłumaczę mu jednak, że tak nie jest. Nigdy dotąd nie zgrzeszyłem przeciw wierności małżeńskiej, nie uczynię też tego i teraz, gdy jestem już stary, jako taki więc obowiązany do dawania młodemu pokoleniu dobrego przykładu.

Inna rzecz, że może urzekła mnie wówczas jaka stara baba, gdyż muszę się przyznać w sekrecie, że kobiety lecą tak na mnie, iż trudno mi się przed niemi opędzić.

Ex re owego wypadku miałem w domu scenę małżeńską, połączoną z wykładem o lekkomyślności, trzeźwości i t. d., otrzymałem też polecenie, bym się postarał sam o to, aby mieć porządny parasol, żona bowiem nie chce o tem ani słyszeć, by na naprawę użyczyć nadzwyczajnego kredytu z swej kasy domowej, a moja kieszeń jest całkowicie wypróżniona, a nawet dziurawa, gdyż niema w domu nikogo, ktoby ją zaszył, ja zaś tej sztuki nie potrafię dokazać.

Gdybym bodaj chodził po kawiarniach, mógłbym się zaopatrzyć drogą cichej zamiany w porządny parasol, skoro jednak rzadko tam bywam, nie pozostaje nic innego, jak prosić Pana Boga, by pogoda dopisała, wobec czego możnaby się obejść bez tego, niepotrzebnego wówczas przedmiotu.

Jestem filozofem w życiu, pomyślałem więc, że złamanie drutu w parasolu nie jest jeszcze niczem tak wielkiem i powtórzyłem słowa Marconiego, jakie wypowiedział, odkrywszy iskrowy telegraf:

— Do bani z drutem!

Sądzi kto może, że na tem koniec mych majowych kłopotów?... Broń Boże!

Ponieważ jestem fanatycznym wielbicielem wiosny i jej wdzięków, do których zaliczam: spacery, śpiew słowika, fiołki, sałatę, szparagi, młode kurczęta i t. p., pomny nadto na dziesięcioro przykazań hygienicznych, ogłoszonych przez miejski fizykat, wybrałem się onegdaj na przechadzkę za miasto w stronę Łobzowa.

Gościńcem iść trudno, tyle tu kurzu i śmieci, każdej chwili grozi ci nadto śmierć pod kołami samochodów, które się tak spieszą, jakby już koniec świata miał nadejść lada chwila. Skręciłem więc z głównej drogi kilkanaście kroków w bok, w tej myśli, że tutaj, nie niepokojony przez nikogo, będę mógł rozkoszować się wiosną, pieścić oko świeżą zielonością i napawać się prawdziwie majowym aromatem.

Jakże jednak srogo się zawiodłem!

Nieopodal, dwadzieścia może kroków od głównego gościńca, stała sobie najspokojniej w polu beczka, wymyślona ongiś przez pana Tallarda, a zawartość jej wylewano na pole celem użyźnienia gleby. Jest to agronomicznie może wskazanem, nie każdy jednak, zwłaszcza z nas mieszczuchów, lubi ten wcale nie majowy zapaszek, jaki się wówczas rozchodzi w promieniu kilkuset metrów wokoło.

Czytałem ongiś wspomniane wyżej przykazania hygieniczne, umiem je nawet na pamięć, ponieważ więc dziesiąte powiada: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na duchu“... zatkałem obie dziurki od nosa węzełkami, zrobionymi z chustki i poszedłem w przeciwnym kierunku, po to jedynie, by tutaj spotkać drugą taką samą beczułkę. Widocznie uruchomiono całą ich baterye...

I pokazało się, że cały hart mego ducha nie zdał się na nic, trzeba było zrezygnować z używania przyjemności wiosny i wracać do miasta, gdzie także jest dość kurzu, jednak tak „majowo“ nie pachnie. Zazdrościłem okolicznym mieszkańcom, do nich bowiem nie weźmie się ani ospa, ani tyfus, ani cholera. Bakcyle pozdychają przedtem pod wpływem owego poczwórnego ekstraktu autonomicznej perfumy.

Wiem o tem, że dobry nawóz jest skarbem dla rolnika, zdaje mi się przecież, iż używanie tak miło woniejącego powinno być ograniczone na te pola, które znajdują się daleko poza miastem, a nie w bezpośredniem sąsiedztwie domów mieszkalnych, o piętnaście minut pieszej drogi od Rynku!

Nabawiłem się wówczas kataru, cieszę się nim do dnia dzisiejszego i pod jego wpływem układam nową seryę przykazań zdrowotnych, które podam w swoim czasie do wiadomości ogółu. Nie będą one tak drakońskie, jak dotychczasowe, a to na specyalne wstawienie się Towarzystwa Ochrony Zwierząt, które wymogło na mnie, iż opuszczę stanowczo paragraf, odnoszący się do tępienia zawziętego much, krmarów, szczurów i t. d.

Nie chodzę więc obecnie na spacery za miasto, siedzę natomiast często na plantacyach, zwłaszcza w tej okolicy, gdzie ruch jest najbardziej ożywiony, lecz i to na zdrowie mi nie wychodzi, tyle bowiem widzę tutaj kręcących się kobiet, a nawet nieletnich dziewcząt, robiących „perskie oko“ do wszelakiego rodzaju mężczyzn, młodych i starych. Kraków, uważany ongiś za miasto jedno z najmoralniejszych na kuli ziemskiej, stracił dziś zupełnie swą dawną reputacyę, nie chcę przecież dłużej się nad tem rozwodzić, by przypadkiem kto nie powiedział, iż jestem owym ptakiem, który kala swe własne gniazdo.

Przy sposobności poruszę jeszcze kiedyś tę sprawę, choć i ona nie jest wcale... pachnącą. Cóż jednak począć?... Jest to obowiązkiem kronikarza, który ma za zadanie obserwować życie we wszelakich jego przejawach, więc tak wesołych, jak i smutnych i nieraz musi poruszyć to, o czem wolałby zamilczeć.

Do wywołania nie-majowego wcale nastroju przyczyniła się nadto wiadomość, że wkrótce już wydanem będzie rozporządzenie, normujące sprzedaż mięsa w wojennym czasie. Tylko przez pięć dni w tygodniu można będzie nabywać w jatkach wołowinę, cielęcinę i wieprzowinę, przez dwa dni trzeba będzie zadowolić się wędlinami, flakami, nerkami, wątróbką, móżdżkiem i t. d.

Wielu mięsożerców jest z tego powodu pogrążonych w najczarniejszej z czarnych rozpaczy, ja przecież nic sobie z tego nie robię, powoli bowiem odzwyczajam się ze względów oszczędnościowych od jedzenia i czekam tylko tej chwili, gdy ogłoszą plakatami, że każdy, kogo nie stać na kupienie sobie mięsa w jednym z tych ustawowych dni pięciu, otrzyma w kasie miejskiej zapomogę na zaopatrzenie się n. p. w kilogram, albo bodaj funcik. Wówczas i ja zacznę znowu żywić się mięsem. a być może poprawi mi się humor, na który kuchnia jarska stanowczo źle wpływa.

Natomiast w politykę, nauczony przykrem doświadczeniem, bawić się nie myślę i jeśli kiedykolwiek będę interwiewować kogo, to chyba jedynie króla kurkowego, który oświadczył się stanowczo za neutralnością. Sztuką także nie będę się zajmował, bo dziś ze wszystkich sztuk jedynie sztuka mięsa przedstawia jaką taką wartość, wobec więc tych ograniczeń niech nikt się nie dziwi, że kronikarz staje się mimowoli hipochondrykiem. Jeśli tak dalej pójdzie, złamię pióro kronikarskie, a zaciągną się w szereg stawiających kręgle, bo właśnie sezon ich się rozpoczyna.

Zresztą o czem pisać, skoro każdy z Czytelników *Nowości Illustrowanych* wiadomości polityczne czerpie wprost z pierwszego źródła, to jest z pism codziennych, lepiej więc nawet niż ja poinformowany jest o ultimatum japońskiem dla Chin, o obietnicach jakie najłaskawiej sypie niczem z worka trójporozumienie, ofiarując każdemu, ktoby mu szedł na rękę kożuch na baranie, to jest terytorya, będące dotąd jeszcze cudzą własnością. Apetyty państw neutralnych są nienasycone, nikt więc powiedzieć nie może, jak w najbliższym czasie ukształtuje się polityczny horyzont, na którym z różnych stron gromadzą się nowe chmury.

Grozi nam burza, a ja właśnie nie mam parasola, możeby więc moi wielbiciele raczyli urządzić składkę między sobą i zafundowali mi, jako dar narodowy dla zasłużonego kronikarza, pamiątkowy deszczochron, z którym nie rozstawałbym się do śmierci, ba, nawet z nim kazałbym się pogrzebać, ze względu na to, iż i na dolinie Jozefata mógłbym trafić na niepogodę.

Na Anglików jestem oburzony, ale nie dlatego, iż wysłali na ląd stały sufrażystki, nie mogąc sobie z niemi w domu dać rady, gdyż zaczepiały ich na ulicach, wołając: „Pokaż, żeś mężczyzna!“..., co miało oznaczać: „Wstąp do wojska!“, lecz z tego powodu, iż ciągle nadrabiają miną i opowiadają, że wojna potrwa jeszcze długo, a oni są gotowi do nowej zimowej kampanii.

Oby Pan Bóg pozwolił, jeśli już mają się spełnić ich przepowiednie, by i w następnej dostali tak samo po skórze, jak w poprzedniej.

Krem do zębów
KALODONT
70 halerzy.

Zagadki do nagrody.

Logogryf geograficzny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy znane polskie przysłowie.

□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech. 2 Przesmyk w Europie. 3. Miasto w Niemczech. 4. Rzeka w Rosyi. 5. Wyspa na morzu Egiejskiem. 6 Miasto we Francyi. 7. Port grecki. 8. Kraj w Europie. 9. Kraj w Azyi 10. Miasto w Królestwie Polskiem. 11. Inna nazwa Hiszpanii. 12. Część świata. 13. Kraj słowiański. 14. Góry w Europie. 15. Prowincya grecka. 16. Miasto na Bałkanie. 17. Część świata.

Szarada.

Ułożył Ant. Matk. w Mělniku (Czechy).

Jako część wozu *pierwsze-drugie* znacie,
A także jako bliższe miejsca określenie,
Trzeciem panujący mówi w majestacie
O sobie, *czwartem* zaś zwykłe stworzenie.
Czwarte i trzecie w użyciu na wojnie
Ku bezpieczeństwu, chociaż, gdy spokojnie,
Także wszędzie je widzisz, więc uważaj, proszę!
Dla *drugiej-trzeciej* w góry cię przenoszę,
Gdzie twarda praca, siła dynamitu,
Rozsadza głazy marmurų, granitu.
Całość, to miasto wschodnio-galicyjskie,
Gdzie po swojemu gospodarowały
Do dni niedawnych dzicz — hordy rosyjskie,
Lecz dziś już od nich wolny obszar cały

Przysłowiówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jegomość, piegi, łuna, echo, guz, pop.

Zadanie konikowe.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

t	b	s	b	i
a	z	a	u	i
e	r	■	w	i
ę	r	t	e	r
k	j	z	e	o

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko współczesnego powieściopisarza-Legionisty

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Bezkrólewie. 3 Nauka o szczęśliwości 4. Godność wojskowa 5. Poeta rzymski. 6. Imię żeńskie. 7. Bohater węgierski. 8. Zasłona. 9. Naczelnik gminy. 10 Miara. 11. Przyimek. 12. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

I w ładny grób Iwona Bobo padł z gór biały śnieg.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Czeczótka, Limanowa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kiedy zwalimy jeszcze mur chł.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

PERCY SENIT.

A. TOPSKI

ARON SYND.

PROT SZMICZ.

URS. E. RETZ.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Teresy Lubińskiej:* **Jarzmo miłosne.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 19.

Szarada: Powrotu do domu.

Trójkąt magiczny:

C h e ł m o ń s k i
H r a d c z a n y
E l ż b i e t a
Ł a z a n k i
M u ś l i n
O k r ę t
N e r o
S i ę
K u
I

Zagadka literacka:

Mont Oriol.
Irydyon
Łabędzia woda.
Kameleon.
Opoka.
Wielki rok.
Salon mod.
Kłamstwa
Inferno.

Logogryf:

D
k r a
g r o c h
a g a
i
O k a
t a r k i
k a n a r e k
P r u s z k o w s k i
p a g ó r e k
W ł a d y w o s t o k
K u l i k ó w
m a z u r
b a s
g
a r a
b r o d a
o s a
z

Zadanie do przestawienia: Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

Kwadrat magiczny:

A l p y
L e n a
P a n i
Y a i r

Trójkąt magiczny:

D u r s k i
U l i c a
R a m a
S a n
K u
I

Rebus: Długo myśleć i prędko działać człowiek rozumny powinien.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A. Waga Kraków, K. Langer Berno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Topolnicki, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Polskie Archiwum Wojenne. Komitet Polskiego Archiwum Wojennego, mający swą tymczasową siedzibę w Wiedniu, rozpoczął już żywą działalność. Sekcya skarbowa stara się o fundusze, sekcya wojskowo-polityczna gromadzi materyały do militarnego udziału Polaków w wojnie i zbiera głosy i opinie w sprawie polskiej, o ile pojawiają się poza prasą Prasą bowiem, tak krajową, jak i zagraniczną zajmuje się osobna sekcya: prasowo-literacka, która gromadzi dzienniki polskie, a z pism obcych wycinki artykułów, dotyczących sprawy polskiej. Sekcya ta objęła nadto swym zakresem działania literaturę piękną, wykwitłą na glebie wojennej. Sekcya społeczno-ekonomiczna czyni zabiegi około pozyskania prac i materyałów w zakresie stosunków prawno-społecznych (wychodźctwo wojenne), oraz dotyczących gospodarczego stanu ziem polskich w okresie wojny Stosunkom kulturalnym, a w szczególności oświatowym poświęcił Komitet osobną sekcyę kulturalno-oświatową. Sekcya pamiętnikarska podejmuje inicyatywę w kierunku pisania pamiętników i wspomnień, w których chodziłoby nie tyle o kronikarskie notowanie faktów, ile o uwzględnienie strony psychologicznej życia wojennego, nastrojów i t. p.

Wreszcie sekcya muzealna zbiera pamiętniki, odznaki, illustracye i inne muzealia

Z powyższego rozkładu pracy w sekcyach okazuje się, że Komitet Polskiego Archiwum Wojennego dąży do ogarnięcia zakresem swym zbiorów całokształtu życia i dążeń Narodu w obecnej dobie. Działalność jego obejmuje wszystkie ziemie polskie i sięga wszędzie, gdzie pulsuje życie narodowe, lub sprawa polska budzi zajęcie. W tym celu ustanawia Komitet na ziemiach polskich i za granicą delegatury i komitety miejscowe, które pośredniczą w akcyi gromadzenia materyałów i środków pieniężnych w danej miejscowości. Komitet posiada dotąd swe delegatury w Niemczech, Szwajcaryi, Włoszech, Szwecyi, Holandyi i Bułgaryi, oraz w szeregu miejscowości w monarchii austryacko-węgierskiej. Nadto organizują się Komitety miejscowe w Krakowie i Poznaniu. Tworzenie dalszych delegatur jest w toku

Akcya Komitetu Polskiego Archiwum Wojennego, jako instytucyi czysto naukowej, a jako takiej, obcej jakiejkolwiek jednostronnosci, znalazła żywy oddźwięk w społeczeństwie, które w uznaniu potrzeby i ważności takiej instytucyi,ześrodkowującej gromadzenie polskich materyałów wojennych z epoki w życiu narodu tak niesłychanie doniosłej, nie szczędzi jej swego poparcia. W pierwszym zaś rzędzie cała prasa polska pospieszyła z pomocą i zasila Archiwum swymi organami.

Adres Komitetu Polskiego Archiwum Wojennego: Wiedeń, I., Steindelgasse 6/II Datki przyjmuje skarbnik Komitetu, dr. Maryan Janelli, Wiedeń, II, Schüttelstrasse 55/6

Z półek księgarskich.

Notatnik kieszonkowy z raptularzykiem na rok 1915. Znana z swej ruchliwości i artystycznego smaku Drukarnia „Sztuka" (Kraków, ulica Sobieskiego l. 16 A), wydała swym nakładem bardzo praktyczny kalendarz kieszonkowy z raptularzykiem na rok 1915. Jest on właściwie przeznaczony dla wojskowych, przydać się przecież może i cywilnej publiczności, zwłaszcza, że na rok bieżący pojawiło się bardzo mało tego rodzaju publikacyi.

Kalendarzyk oprawny w skórkę lub płótno, w kształcie portfelu, który wygodnie zmieścić można w kieszeni, zawiera prócz kalendaryum, tabele do obliczania procentów, tabliczkę mnożenia, skalę stemplową, wykaz mieszkańców większych miast w Austro-Węgrzech, przepisy pensyjne dla wojskowych i cywilnych, raptularz i notatnik blokowy, który może być zmieniany. Ponadto dodano do niego dwanaście kart pocztowej poczty polowej.

Wydanie bardzo staranne i nizka cena powinny przyczynić się do tego, iż „Notatnik" z czasem wyruguje od nas podobne wydawnictwa zagraniczne.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA"

na rok 1915

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana", Kraków XV. Przesyłki uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. — (50 kop.), na porto 10 hal., lub 35 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Rok założenia 1900

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Nowość! Nowość!

W sidłach Dyabła.

Powieść przez **Wł. S. Popiela.**

Treść: Nocne narady we wsi. Na leżajskim zamku. Figle amora. Schadzka miłosna. Awantura w oberży u Dubiela. Bunt chłopów. Ucieczka z lochów zamkowych. Piekło na ziemi. Przygotowanie do wojny z Dyabłem łańcuckim. Spalenie Łańcuta. Krwawy odwet. W sidłach Dyabła. Straszny wyrok. Zmierzch miłości. Wyprawa. Dyabeł w matni.

Autor przedstawia w tej powieści w nader żywy i zajmujący sposób bunty chłopów, wojny domowe, pożogi i tortury, obrazy pełne okropności i grozy.

Tom o 224 stronach w ozdobnej okładce kor, 3·—, w pięknej oprawie płóciennej kor. 4·—.

Do nabycia w Polskiej Księgarni STELLA w Cieszynie.

Jarzyny.

5 kilo szpinaku kor. 3·10
5 „ grochu w strączkach kor. 3·70
5 „ szparagów „ 6·—
5 „ karafiołów „ 4·—
5 „ czerwonych pomarańczy . . kor. 5·20
5 „ kawy Mocca i Cuba kor. 21·—

opłacone za pobraniem pocztowym.

Giovanni Spanghero, Tryest.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

Pięć aparatów fotograficznych ręcznych w form. 6×9

(Brownie Camera Nr. 2)

do sprzedania.

Wiadomość w Administracyi „Nowości Illustrowanych".

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.

Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór torebek damskich.

Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

ADMINISTRACYA „Nowości illustrowanych" **odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe** z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.